

- Myślałem, że się nie przebiję, że się wykończę. Daliście na początku pacjentów z padaczką oraz z uszkodzeniami mózgu - mówił przed laty w Stalowej Woli wyczerpany uzdrowiciel

Ręce, które leczyły. Przypadek Stanisława Nardellego

W kwietniu minie 37 lat od pierwszych bioenergoterapeutycznych seansów, jakie w hali sportowej i na stadionie Stali, dał w 1983 r., słynny w tamtych czasach uzdrowiciel, Stanisław Nardelli. Kolejny seans odbył się tu we wrześniu tegoż roku. Były to największe publiczne zgromadzenia ludności w historii Stalowej Woli. Kwietniowym seansom towarzyszyła też aura skandalu, związana z rozprowadzaniem części kart wstępu „po znajomości”.

- Leczące ręce Stanisława Nardellego - takim tytułem opatrzyła swoją relację z pierwszych terapeutycznych spotkań, redakcja „Socjalistycznego Tempa” - gazety Huty Stalowa Wola.

Pomagał za darmo. Ale nie przez ekran

Skojarzenie z innymi „leżącymi rękami” i słynnym rosyjskim lekarzem-psychoterapeutą Anatolijem Kaszpirowskim, który na początku lat 90. ubiegłego wieku zdobył ogromną popularność także w Polsce, swoimi zabiegami tele-hipnozy, z pamiętnym odliczaniem: „adın, dwa, tri” itd., nasuwa się dziś samo. Ale Stanisław Nardelli odżegnywał się od propozycji takich telewizyjnych występów, gdzie jego ręce miałyby leczyć „przez ekran” (patrz ramka).

A m.in. w taki sposób, seanse prowadził później inny znany polski bioenergoterapeuta Zbigniew Nowak. Ba, jego ręce miały też leczyć z fotografii uzdrowiciela drukowanych w prasie. Nowak uczynił ze swego „daru” wielki biznes, w 2013 roku za 15-minutowy indywidualny seans inkasował 250 zł. Nardelli nie brał dla siebie żadnych pieniędzy.

Opłaty za seanse w Stalowej Woli (200 zł - kwiecień zł i 300 zł - wrzesień, ale oczywiście jeszcze przed denominacją złotego), podzielono między organizatorów jego spotkań w Katowicach, Polski Komitet Pomocy Społecznej w woj. tarnobrzeskim, miejscowy Dom Spokojnej Starości oraz budowę ośrodka bioenergoterapeutycznego w Bieszczadach (przynajmniej takie były oficjalne deklaracje).

Nie był ze Stalowej Woli

- Lubię wracać do Stalowej Woli - napisał w swojej książce „W kręgu biopola” Stanisław Nardelli. Nie ma o nim nic w Wikipedii, a w innych internetowych źródłach, często podaje się, że uzdrowiciel był „ze Stalowej Woli”. To nieprawda. Nie miał też żadnych rodzinnych związków z naszym miastem, nigdy tu nie mieszkał. W 1983 r. został natomiast wpisany do Księgi Zasłużonych dla Stalowej Woli.

Urodził się w Rybniku w 1928 r., jako trzecie dziecko Edwarda i Eugenii Nardellich. Ojciec zginął w 1936 r. w wypadku kolejowym, a utrzymanie domu i czwórki dzieci spadło na barki matki 8-letniego wówczas Staszka, która była nauczycielką.

Wśród najbliższych, Stanisław Nardelli nigdy nie uchodził za cudowne dziecko. Matka widziała w nim przyszłego konstruktora albo lekarza, a ojciec pragnął, by został oficerem. Uczył się nieźle, ale jak potem mówił - nigdy nie przywiązywał wagi do stopni, a potem do wyróżnień i tytułów.

Włoskie nazwisko odziedziczył po dziadku, Domenico Nardellim, który w drugiej połowie XIX wieku przybył z Sopramonte w północnych Włoszech do ówczesnego zaboru austriackiego i osiedlił się w Karwinie, malopolskiej wiosce w powiecie proszowickim. Jego syn, Edward czuł już się Polakiem, walczył o niepodległość Rzeczypospolitej i w 1918 r. otrzymał jej obywatelstwo.

Nazywany polskim Harrisem

Stanisław Nardelli (1928–1985) z wykształcenia był ekonomistą. Pełnię swych bioenergoterapeutycznych zdolności rozwinął bardzo późno, bo dopiero po 50. roku życia, gdy przeszedł na rentę inwalidzką. Jak podają jego biogramy, pierwszy raz objawił swoją nadzwyczajną moc w czasie choroby brata, cierpiącego z powodu zakażenia rany tężcem.

Potem, w 1978 r. uzdrowił dotykiem chorą pielęgniarkę, gdy sam przebywał w szpitalu. Ten rok był też rokiem narodzin Stanisława Nardellego jako bioenergoterapeuty. W 1981 r., na pierwszym w Polsce Sympozjum Bioenergoterapii, publicznie demonstrował swe zdolności.

Nazywany był też często „polskim Harrisem”. Clive Harris był w latach 70. ub. wieku bardzo popularnym w Polsce uzdrowicielem i bioenergoterapeutą. Prowadził przez długi czas seanse w polskich kościołach, a uczestniczyły w nich w sumie miliony (!) ludzi. Gdy jednak zaczął twierdzić, że uzdrawia za pomocą duchów i że są to demony, zabroniono mu wstępu do kościołów. Harris zmarł 17 września 2009 r.

Stanisław Nardelli leczył podczas zbiorowych seansów na stadionach, halach sportowych, w szpitalach oraz indywidualnie. Miał też grono licznych krytyków takich „zbiorowych terapii”. Seanse Nardellego gromadziły nawet kilkudziesięciotysięczne tłumy, a w Tarnowie, jednego dnia było na nich podobno 100 tys. osób. Nardelli, jako jeden z pierwszych, leczył tzw. taranem bioenergoterapeutycznym, przekazując energię swojego biopola ludziom trzymającym się za ręce, gdzie on był początkiem tego wielkiego łańcucha.

Cyrk z kartami wstępu

26 kwietnia 1983 r. uzdrowiciel przyjechał do Stalowej Woli na zaproszenie... Niezależnego Związku Zawodowego Pracowników HSW, który był też organizatorem jego seansów i rozprawdzał karty wstępu. Okazało się wtedy, że nie otrzymało ich wiele chorych

i faktycznie potrzebujących osób, a sporo kart rozdano „po znajomości”. Były o to liczne pretensje i żale.

- To był żenujący cyrk. Najsmutniejsze, że nawet nie wszystkie dzieci zakwalifikowały się do zabiegu, chociaż był dla nich wskazany. Tymczasem po przychodni biegali ludzie z kartami w rękę i trzeba było „wymyślać” jakąś chorobę, jeszcze dla teściowej i brata siostrzenicy... - mówił z oburzeniem doktor Albin Czech z Ambulatorium przy Hucie Stalowa Wola, kierujący podczas seansów służbą medyczną.

Postulował też, by następnym razem, o przydziale kart nie zdecydowano na wydziałach HSW, ale w przychodniach robili to lekarze rejonowi, jako najlepiej zorientowani, a kryterium otrzymania karty powinno być jedno - stopień zaawansowania choroby pacjenta.

Trzęsła się jak porażona prądem...

Początkowo, kwietniowe spotkania w Stalowej Woli miały się odbyć tylko w hali sportowej. I dwa seanse 26 kwietnia rzeczywiście przeprowadzono pod dachem. Ale następnego dnia chętnych było tak wielu (w tym i tych bez kart wstępu), że przeniesiono je na pobliski stadion. Te cztery seanse trwały od trzech i pół do blisko czterech minut każdy.

Ich scenariusz był podobny: ludzie brali się za ręce, a Nardelli zapewniał, że zrobi co w jego mocy, aby im pomóc. Przez głośniki podawano też komunikaty, co uczestnicy seansów będą odczuwać: mocniejsze bicie serca, uścisk i zawroty głowy, drżenie kolan, uczucie zimna, przyspieszone bicie serca, uczucie chłodu, a nawet omdlenie.

Seanse prowadził dziennikarz Polskiego Radia, Aleksander Trzaska. Prosił przez mikrofon, by wszyscy uczestnicy wzięli się „serdecznie” za ręce. Szacuje się, że 26 i 27 kwietnia, w hali sportowej i na stadionie Stali: na płycie boiska, trybunach i terenach wokół, zgromadziło się w sumie ok. 28 tysięcy osób!

- Sparaliżowanemu mężczyźnie pielęgniarka rozchyła palce. Ludzie: bardziej i mniej chorzy, wierzący i niewierzący, partyjni i bezpartyjni, związkowcy i niezwiązkowcy, przyjaciele i wrogowie, chwycili się za ręce - relacjonował dziennikarz „Socjalistycznego Tempa”.

I jakie były odczucia uczestników? - Mrowienie w palcach, kołatanie serca, mrowienie nóg, gorąco, zasłabnięcie - wyliczał dalej reporter. Pisał też, że jakaś kobieta na wózku, która wcześniej głośno się modliła, skarży się, że już dłużej nie wytrzyma. - Trzęsie się jak porażona prądem. Puszczą ręce, sąsiedzi zamykają obwód. Zabieg trwa - czytamy w relacji. Ale były też zawiedzione reakcje w rodzaju: - Nic nie czuję, to nie działa.

Stanisław Nardelli informuje przez mikrofon, że zabieg się udał, że nasycenie energią biopola nastąpiło w tej a tej minucie. A potem, już nie do mikrofonu, zauważa:

- Myślałem, że się nie przebiję, że się wykończę. Daliście na początku pacjentów z padaczką oraz z uszkodzeniami mózgu (osoby będące najbliżej niego w łańcuchu - red.). Po ostatnim zabiegu głęboko chwytał powietrze, a gdy wstawał z krzesła, to trzeba go było podtrzymać.

Jak pisze dalej dziennikarz „Socjalistycznego Tempa”, po kilkanaście osób po każdym zabiegu informowało o natychmiastowym wyleczeniu (np. starsza kobieta odrzuciła laskę, o której przyszła), a później napływały nowe informacje o poprawie stanu zdrowia kolejnych uczestników seansów Nardellego w Stalowej Woli.

Stadion po raz drugi. - Czuję się jakiś inny

Po raz drugi uzdrowiciel przyjechał do naszego miasta 8 września 1983 r. Na stadionie „Stali” zgromadziło się ok. 16 tys. osób, które powitały go gorącymi oklaskami, gdy objeżdżał go po bieżni meleksem. Za jego plecami stanęła grupa miejscowych różdżkarzy, mających wspomagać Nardellego swoimi

biopolami, choć on sam nie był tym zachwycony. Odbył się wtedy tylko jeden seans, po którym 20 osób zgłosiło natychmiastową poprawę zdrowia.

- Dość wyczerpujące dla wielu chorych, a przecież byli tu również ludzie na wózkach i noszach, było już długie oczekiwanie na rozpoczęcie seansu. Pamiętam długą ciszę, gdy się rozpoczął, przerywaną tylko jękami chorych i komunikatami, by nie przerywać łańcucha. Sama nie czułam nic szczególnego, może tylko trochę zdrętwiały mi dłonie, ale chyba bardziej z emocji - wspomina dziś jedna z pielęgniarek pomagających przy płycie stadionu uczestnikom sensu.

A jeden z nich relacjonował to tak: - Nie miałem mrowienia ani kołatania serca. Ale po tym wzięciu się za rękę z sąsiadem, i to kalekim, jakoś lżej mi oddychać. Czuję się jakiś inny, mam bardzo dobre samopoczucie, chociaż oczekiwanie na zabieg było bardzo męczące.

Wspomniany już lekarz Albin Czech, zachwycił się wtedy jednym przypadkiem ozdrowienia. - Dla mnie rewelacyjny jest przypadek przywrócenia ruchu w łokciu stawowym pacjenta po wylewie. Jako rehabilitant, na taki efekt musiałbym bardzo długo pracować - mówił po seansie.

Cały się zatraczał

Seanse, szczególnie dla dużej liczby uczestników, były dla uzdrowiciela bardzo wyczerpujące. Stanisław Nardelli wspominał w Stalowej Woli, że podczas pobytu na kuracji w Busku-Zdroju, przeprowadził zabieg dla około 50 tys. osób.

- Sznur ludzkich rąk liczył 6,5 kilometra. Po tym spotkaniu byłem bliski śmierci. Czasem zapominam o BHP dla siebie, że powinienem otrzymywać dziennie dwa zastrzyki z insuliną. Nie przestrzegam diety, jestem niedobrym pacjentem. Najgorsze, że jestem anormalny w tym co robię, ale normalny jako człowiek - mówił wtedy Stanisław Nardelli.

Opisywał też swój stan podczas seansu: - Nic nie widzę, nic nie czuję, cały się zatracam. Czuję tylko moment nasycenia biopolem. Działam na zasadzie generatora specyficznych fal elektromagnetycznych. Gdy jestem syty i wypoczęty, oddziałuję słabiej. Gdy przeciwnie, słaniam się na nogach, efekty są często natychmiastowe i zdumiewające - mówił.

W przeciwieństwie do wielu innych uzdrowicieli, Nardelli uważał też, że to, czy pacjent wierzy czy nie wierzy w skuteczność jego zabiegów, nie jest konieczne do uzyskania pozytywnych skutków leczenia, choć podkreślał, że psychiczny kontakt z pacjentem jest korzystny przy walce z chorobą. Decydujące znaczenie miała mieć jednak siła jego biopola. Jak mówił, jego pacjenci „gubili w ten sposób swój zły rytm i częstotliwość, dostrajając uszkodzone biopole nowymi energetycznymi falami życia”.

Podaje się, że pomiary na biometrze wykazywały, że biopole Stanisława Nardellego było 400 razy większe od biopola przeciętnego człowieka i 15 razy większe od biopola Clivena Harrisa.

Lubił sceptyków, nie lubił szyderców

W Stalowej Woli uzdrowiciel wyliczał też, że spotkał się już z milionem siedmuset tysiącami ludźmi, a do światowej literatury weszło pojęcie - efekt Nardellego. - Chcę pomagać ludziom, wydzierać ich śmierci. I czasem mi się to udaje. Popularność mnie męczy. Oczywiście, mam również porażki - mówił.

Odniósł się także do relacji między bioenergoterapią a tradycyjną medycyną i do krytyki jego działalności ze strony niektórych lekarzy i naukowców.

- Lubię sceptyków, nie lubię szyderców. Ale czasem mam satysfakcję, że szyderca z tytułem profesorskim zmienia swój stosunek do bioenergoterapii. Ona może ludziom pomagać. Wydaje mi się, że wypracowałem optymalny model funkcjonowania

bioenergoterapii w medycynie. Wierzę, że kiedyś bioenergoterapia będzie jedną z metod medycyny konwencjonalnej. Oczywiście, najlepiej by było, żeby bioenergoterapeutami byli sami lekarze - powiedział Stanisław Nardelli w Stalowej Woli, przypominając uczestnikom jego seansów o konieczności dalszego tradycyjnego leczenia.

Nie jest panaceum, nigdy nie zastąpi lekarza

A w swojej książce „W kręgu biopola”, wydanej w 1986 r., w której wyłożył swe poglądy i doświadczenia, napisał, że „bioenergoterapia nie jest panaceum, lecz tylko jedną z metod ubiegających się o swoje miejsce w medycynie, że bioenergoterapeuta nigdy nie zastąpi lekarza, który decydował i decydować będzie o naszym zdrowiu, że wreszcie przez zrozumienie bioenergoterapii można znaleźć odpowiedź na wiele pytań, z których najważniejsze jest pytanie nurtujące człowieka od wieków: - Jak żyć?”

Niestety, Stanisław Nardelli nie doczekał wydania tej książki. Jak podają źródła, „przedobrzył” z wykorzystaniem własnego biopola miesiąc po wizycie w Stalowej Woli, 8 października 1983 r., podczas seansu dla 27 tys. osób na stadionie w Tomaszowie Mazowieckim, tracąc wkrótce swe nadzwyczajne zdolności. Zmarł w lipcu 1985 r. z wyczerpania, gdyż „przeoczył swoje własne utajone schorzenie, które nasiliło się po bioenergetycznym przepracowaniu”.

---ramka---

Dlaczego nie uzdrawiał przez telewizję

- Za pośrednictwem telewizji można przekazywać na przykład pogadanki psychoterapeutyczne. Poza tym, gdybym zdecydował się na jakiś telewizyjny eksperyment, byłbym okrzyczany przez ludzi zawistnych za aktora szukającego popularności. Gdybym zdecydował się na seans telewizyjny, to wielu szyderców

powiedziałyby, że jemu coś odbiło - tak mówił Stanisław Nardelli we wrześniu 1983 r. w Stalowej Woli.

Ale lecznicze właściwości (np. do gojenia starych ran) miała mieć „napromieniowana” przez niego woda. - Biorę butelkę wody i bawię się nią przez kilka minut. Właściwości lecznicze wody utrzymują się przez dłuższy czas - wyjaśniał uzdrowiciel.

Stanisława Nardellego stalowowskie przypadki

Uzdrowiciel omal nie postradał wtedy życia

Po obszernym wspomnieniu o bioenergoterapeucie Stanisławie Nardellim i jego uzdrowicielskich seansach w Stalowej Woli w kwietniu i wrześniu 1983 r. („Sztafeta” z 19 marca), odezwało się kilkoro uczestników tych niezwykłych spotkań. Dotarliśmy też do innych wspomnień i relacji.

Po wrześniowym seansie na stadionie ZKS Stal, zapowiadano, że Stanisław Nardelli przyjedzie do Stalowej Woli kolejny raz już w listopadzie 1983 r. Ale tak się nie stało.

- Nie przyjedzie ze względu na stan zdrowia. Obecnie przebywa w jednej ze śląskich klinik. Odwiedziliśmy go, przekazaliśmy życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Stanisław Nardelli, gdyśmy się z nim żegnali w klinice, prosił gorąco o przekazanie jak najserdeczniejszych życzeń i pozdrowień dla pracowników bliskiej jego sercu, jak zaznaczył, Huty Stalowa Wola i członków ich rodzin - mówił w listopadzie 1983 r. na łamach „Socjalistycznego Tempa” Jan Jagusiak, wiceprzewodniczący komitetu organizacyjnego wrześniowego seansu na stadionie Stali.

Wspomnienia doktora Czecha

- Czuję się w pewnym stopniu przytłoczony wielkością tego przedsięwzięcia. Tysiące ludzi z różnymi schorzeniami... Potencjalne niebezpieczeństwo pogorszenia się stanu zdrowia u

niejednego z pacjentów z przyczyn różnych. Przecież tym ludziom towarzyszył ogromny stres sytuacyjny. Wszystko mogło się zdarzyć. Na szczęście nie było przypadków wymagających natychmiastowej interwencji, choć byliśmy i na to przygotowani. Muszę powiedzieć, że jako organizator służby medycznej, nie miałem żadnych kłopotów ze skompletowaniem zespołów lekarsko-pielęgniarskich. Z pomocą przyszła nam dyrekcja szkoły medycznej w Stalowej Woli, która potraktowała dyżury w czasie zabiegu jako zajęcia praktyczne dla słuchaczek ostatnich lat – tak w książce „W kręgu biopola”, wydanej w 1986 r. już po śmierci Nardellego, wspominał stalowowolskie seanse Albin Czech, ówczesny ordynator rehabilitacji w Ambulatorium Huty Stalowa Wola.

Opowiadał też o przypadkach ozdowień, zanotowanych zaraz albo po jakimś czasie po tych seansach. Wymienił ustąpienie zezą u 25-letniej mieszkanki Sandomierza Ewy T., porażenia nerwu twarzy u 31-letniej mieszkanki Stalowej Woli Krystyny P., poprawę słuchu u 7-letniego Adasia, który na jedno ucho w ogóle nie słyszał, a w drugim tylko na 30 proc.

I wymieniał kolejne przypadki: 45-letni Jan W. ze Stalowej Woli (po dwóch zawałach, dotknięty rwą kulszową), 30-letni Ryszard S. ze Stalowej Woli (padaczka), 8-letni Dariusz B. ze Stalowej Woli (opóźniony rozwój psychoruchowy i padaczka), 49-letni Tadeusz N. (dysfunkcja kończyn prawych), 34-letni Stanisław W. z Jeżowego (skomplikowane skręcenie prawego kolana), 31-letnia Elżbieta J. ze Stalowej Woli (także unieruchomienie prawego kolana). We wszystkich tych przypadkach, schorzenia ustąpiły albo zaszła znaczna poprawa.

Wstała z wózka i walnęła go w twarz

– Dobrze pamiętam te seanse i ogromny tłum ludzi. Najpierw na hali sportowej, a potem na stadionie. Wszyscy byliśmy podekscytowani, nawet sceptycy i ci, którzy w ogóle nie wierzyli w cudowne zdolności Nardellego – opowiada „Sztafecie”

Ryszard Lipka ze Stalowej Woli, który był w ekipie organizującej stalowowolskie spotkania uzdrowiciela.

Szczególnie zapamiętał dwie sytuacje. Podczas jednego z seansów w hali sportowej, Nardelli trzymał za ręce młodą dziewczynę, a on z drugim mężczyzną podtrzymywali ją. Później okazało się, że z wrażenia zrobili to tak mocno, że na przedramieniach miała bardzo silnie odciśnięte ich palce.

A drugi przypadek był zupełnie niezwykły. - Widziałem, jak pewna kobieta, którą jakiś mężczyzna przywiózł na halę na wózku, po seansie wstała na nogi, a potem... walnęła go w twarz i krzyknęła: - A nie chciałeś mnie zabrać! Nie wiem, czy to było prawdziwe czy wyreżyserowane - wspomina Ryszard Lipka. Zapamiętał też, że kiedy na stadionie chciano nad Nardellim postawić duży parasol, bo przypiekało słońce, to ten obruszył się, mówiąc, że nie jest jakimś... kacykiem, żeby go tak okrywać baldachimem. Dobrze pamięta też częste przerywanie wielkiego łańcucha rąk, jaki tworzyli zgromadzeni ludzie: jęki, płacz i śmiech.

Nagle wyczułem piekielny opór...

Stanisław Nardelli też musiał dobrze zapamiętać seanse w Stalowej Woli, a szczególnie ten ostatni, wrześniowy, na stadionie.

- Omal nie postradałem wtedy życia. Na początku układu bioenergoterapeutycznego, czyli w miejscu, w którym ja miałem zamknąć układ, znaleźli się bardzo ciężko chorzy, często z niedorozwojem i uszkodzeniami mózgu. Kiedy zbliżyłem swoje dłonie do dłoni „przekaźnika”, nagle wyczułem piekielny opór. Zorientowałem się, że nie zostały spełnione podstawowe warunki, jakie stawiam ekipie odpowiedzialnej za przygotowanie układu. Miałem dwa wyjścia: prosić o przetasowanie kilkudziesięciu osób, co mogło spowodować ogromne zamieszanie albo zaryzykować kosztem własnego zdrowia. Wybrałem to drugie. Czułem, że dzieje się ze mną coś niedobrego, że tracę zbyt wiele sił, że

to może skończyć się wylewem. Ten mój szczególny stan zauważyło wiele najbliższych stojących osób. Na szczęście skończył się dobrze - napisał uzdrowiciel we wspomnianej już książce „W kręgu biopola”.

Stanisław Nardelli planował utworzenie, być może w Niemodlinie, Polskiego Centrum Bioenergoterapii i zorganizowanie Akademii Medycyny Niekonwencjonalnej. Choroba uzdrowiciela przekreśliła te plany. Zmarł 30 czerwca 1985 r., spoczywa na cmentarzu komunalnym w Tychach.

- Nie ma nic piękniejszego niż uśmiech na twarzy, z której zniknęło cierpienie - wyryto na jego grobie.